Grupa Niemców bałtyckich spotkała się w Poznaniu z Polakami, mieszkającymi tu w czasie wojny

Oni także żyli w Poznaniu

Maria Nowak

28 października 1939 roku 400 pierwszych Niemców bałtyckich przyjechało do Poznania. Pochodzili z Łotwy i Estonii. Mieli zająć mieszkania wysiedlonych Polaków i rozpocząć nowe życie pod nazistowskim hasłem powrotu do ojczyzny. Przyjechało ich do Kraju Warty jeszcze około 60 tysięcy, a potem w 1945 uciekli stąd przed nadciągającym frontem.

Po 70 latach przyjechali do Poznania na konferencję poświęconą wysiedleniom. W Instytucie Zachodnim spotkali się z wysiedlonymi niegdyś Polakami. Wzajemne wspomnienia pełne były emocji: Polacy wykrzykiwali swoje krzywdy, Niemcy szukali usprawiedliwień...

Jana Bosse, dziennikarka, wnuczka bałtyckiego Niemca, przeprowadziła z 25 z nich wywiady. Większość chciała zachować anonimowość. Bo jeśli zbyt by się kajali, narażali się swoim; jeśli zbyt byliby butni, narażali się Polakom.

Czy przyjechali tu wtedy dobrowolnie? I tak i nie. – W ramach tajnego paktu Ribbentrop-Mołotow przewidziana była pełna swoboda wyjazdu dla Niemców bałtyckich. Mój ojciec wpisał nas na listę wyjeżdżających – mówił p. Erbe z Estonii. – To dawało poczucie bezpieczeństwa, że byliśmy pod opieką Rzeszy. Do mieszkania przyszła komisja niemiecko-sowiecka, wszystko obejrzała i mówiła, co możemy zabrać, a co nie. Enkawudzista chyba pierwszy raz widział na oczy takie duże mieszkanie. Potem przez miesiąc czy dwa były zbijane wielkie skrzynie drewniane, do których pakowaliśmy się. Wyjechaliśmy specjalnym pociągiem z Rewala. Jak już dojechaliśmy tu, to ludzie najchętniej by uklękli i dziękowali, że wydostali się z okropnych warunków sowieckich.

– Mój ojciec – dodał drugi z gości – był w NSDAP, ale zawiódł go tam idealizm i chęć męskiej przygody. W Estonii czy na Łotwie nie było wtedy wielkich perspektyw zawodowych, więc młodzi chcieli wyjechać.

Historyk Matthias Schroeder nieco rozwiewał ten idealizm. Nie licząc członków NSDAP, aż 1,8 tys. młodych Bałtów wstąpiło dobrowolnie w Kraju Warty do SS, SA czy do policji, a więc musieli uczestniczyć w jakichś akcjach przeciw Polakom, także zapewne w wysiedleniach. Robili kariery w nazistowskiej Rzeszy, a po wojnie wspierali się wzajemnie, także w unikaniu odpowiedzialności. Jak okazało się niedawno, Erhard Kroeger, szef nazistowskiego ruchu na Łotwie, po wojnie przez swoich kolegów pracujących w niemieckiej policji, został ostrzeżony przed aresztowaniem.

Jak odbierali swoje nowe mieszkania? –Dostaliśmy klucze do mieszkania w Poznaniu – mówi jeden z rozmówców Jany Bosse. – Kiedy otworzyliśmy drzwi, paliło się tam światło. Na stole stało jedzenie i szklanki z wystygłą herbatą, a w łóżeczkach dziecięcych była rozrzucona pościel. Domyśliliśmy się, że wysiedlenie musiało być bardzo gwałtowne, odbyć się wieczorem, kiedy dzieci już spały, a dorośli jedli kolację. Najchętniej byśmy stamtąd uciekli, ale dokąd? Nie wszyscy zastanawiali się, co się tu przed ich przyjazdem działo. Propaganda nastawiała ich zresztą tak – jak wspominał jeden z uczestników spotkania – że Polacy po I wojnie światowej wyrzucili z tych niemieckich ziem prawie milion Niemców, a więc teraz dzieje się sprawiedliwość.

– Miasto było niemieckie – wspominała jedna z kobiet. – Sklepy były niemieckie, co najwyżej Polacy byli w nich ekspedientami. Wszyscy mówili po niemiecku, nie było żadnych polskich gazet czy kawiarni. Polacy jeździli tylnymi wagonami w tramwaju, w śródmieściu się ich nie widziało. Jak ich traktowaliśmy? Jak podwładnych, jak siłę roboczą. Ale nie traktowaliśmy ich źle. Czasem nawet im coś dawaliśmy.

W piwnicy naszego domu był szewc, Polak – mówił inny Niemiec. – Coś mu napsociliśmy z bratem. Kiedy matka się o tym dowiedziała, kazała nam iść go przeprosić. Ten człowiek był bardzo tym wzruszony. Dopiero dziś rozumiem, dlaczego – że to Niemcy przepraszają Polaka.

– Obie strony nie garnęły się do siebie – to mówi rozmówca Jany Bosse. – Pamiętam, że jeden Polak powiedział rodzicom: to miłe, że państwo, choć Niemcy, są dla nas tak przyjaźni, ale pani wybaczy, ja was nienawidzę.

Czyjaś matka w tramwaju, który odjechał Polce sprzed nosa, protestowała głośno, że wszyscy mają prawo wsiadać, czyjaś rodzina przechowała rzeczy osobiste poprzednich polskich właścicieli mieszkania w komórce, skąd polska służąca wynosiła je po cichu prawowitym właścicielom, ktoś nawet słuchał radia BBC razem z Polakami...

Czego spodziewali się po spotkaniu z Polakami? Różnie. Jedni cieszyli się, bo tylko rozmowa umożliwi wzajemne zrozumienie, inni stawiali tę sprawę: Na pewno będzie tak, że Polacy będą nam przypisywać wszelkie zło, a my będziemy im potakiwać i się kajać. To wszystko będzie bardzo jednostronne.

Czy tak było? Nie będzie nigdy równowagi między kimś, kto został brutalnie w nocy wypędzony z domu, obdarty ze wszystkiego, skazany na poniewierkę, a tym, kto ze swoim dobytkiem, spokojnie przesiedlał się do nowego domu i miał zapewniony byt – nawet jeśli porzucał rodzinne nadbałtyckie strony. Włodzimierz Nowak z polskiego związku wysiedlonych „Gniazdo" powiedział: wiemy, żeście zostawili tam część swojego majątku, ale czy wy wiecie, że Niemcy tu przejęli 51 tysięcy polskich przedsiębiorstw, 613 banków, 21 towarzystw ubezpieczeniowych, a wywożone stąd różne cenne ruchomości mieściły się w milionach wagonów?

Po co się więc spotykać? – Żeby nie milczeć o tym – mówił Eckhart Neander, przewodniczący Związku Niemców Bałtyckich. – Mnie przeraża ta zgoda na to, że tak ma być, ta obojętność na los Polaków, to niedostrzeganie ich. Spośród 25 pytanych przez Janę Bosse, tylko jedna osoba pamiętała wielkie czerwone plakaty z nazwiskami Polaków skazanych na śmierć za niedozwolony ubój świni...

Wypowiedz się na stronie

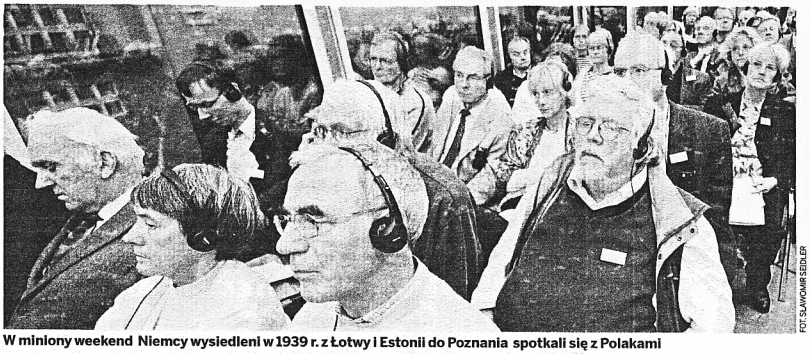

FOT. SŁAWOMIR SEDLER

W miniony weekend Niemcy wysiedleni w 1939 r. z Łotwy i Estonii do Poznania spotkali się z Polakami



FOT. INSTYTUT ZACHODNI W POZNANIU

Osadnicy niemieccy otrzymują klucze do mieszkań opuszczonych przez wysiedlonych Polaków

Czy warto się spotykać?

● **W 1962 r. przyjechałem do Poznania** – wspomina jeden z gości. Pojechałem na ul. Senatorską. Jakaś kobieta zapytała, co tu robię? Powiedziałem, że to dom, w którym się urodziłem. – A to pan jest pewnie Paul M.– zawołała i zaprosiła do domu. Tam dała mi przechowaną pracę doktorską mego ojca, którą zostawił, uciekając w 1945 r.